

Zajac



KLEMENS JUNOSZA

Zając

Był pogodny ranek jesienny. Na trawie poczerńiałej, w rowach przydrożnych, na ciemno zielonej runi oziminy znać było mróz biały: słońce zarumieniło już wschód, zapowiadając dzień jasny i pogodny, jeden z tych pięknych dni, jakimi nas czasem spóźniona jesień obdarza.

Na drodze panował ruch niezwykle. Na furach i pieszo dążyli chłopię do miasteczku, niektórzy prowadzili krowy lub woły; owdzie kobieta szamotała się z „gadziną”, szarpiąc ją umocowanym u tylnej nogi postronkiem, tam znów jakaś jejmość z waszecia dumnie spoglądała z wysokości rozklekotanej bryczki, owdzie przemykał na biedce Żydek zaferowany, okładając biczem wychudzoną szkapinę.

Wszyscy dążyli do jednego celu — a wszystkim było pilno, każdy się śpieszył.

Bo też to i dzień niezwykajny. Wtorek po świętym Marcynie, wielki jarmark w Okpiszewie, sławny na całą okolicę. Na ten dzień ściągali do Okpiszewa z sąsiednich, a nawet z bardziej odległych miasteczek czapnicy, szewcy, bednarze, blacharze, handlarze sukman i kozuchów. Rozbijali oni swoje kramy i namioty na rynku, ustawiali improwizowane półki, ochryplym głosem zachwalając i reklamując swój towar.

Wiedzieli oni dobrze, że dzisiejszy dzień to żniwo — a wszyscy chłopię wiedzieli również, że dziś w Okpiszewie, oprócz chyba ptasiego mleka, wszystkiego, co dusza zapagnie, dostanie. Szklanych paciorków, wstążek, koralu, galantych kozików, spinek z lusterkami, grzebyków, którymiby można najtwardszy tynek z murów oskrobywać, obwarzanków, kielbasy, pierników, śledzi i innych wykwinnych łakoci...

Chłop, choćby miał się zupełnie bez obuwia obywać, nie kupił butów gdzieindziej, tylko na święty Marcin w Okpiszewie, dziewczyna tam kupowała czerwono malowaną skrzynkę na wyprawę, gospodyni chustkę, albo obraz święty na ozdobę izby.

Okpiszewscy Żydzi na dwa tygodnie naprzód przygotowywali zapasy w szynkach, sklepach, kramach; cieszyli i radowali się, żałując zarazem, że ten święty Marcin nie bywa przynajmniej co tydzień.

Na drodze aż się czerniło od fur, można było słyszeć wesołe rozmowy podróżnych, kwik trzody lub też przeciągłe ryczenie krow, oglądających się ciągle za wioską, z której je wyprowadzono.

Wśród pieszych szedł także Michał Gil, gospodarz z Zawadówki, z małżonką swoją Magdą, młodą jeszcze, przystojną kobietą.

Michał szedł zamasztyso, kijem się sękatym podpierał, na plecach miał kobiałkę łubianą, u pasa kozik i krzesiwko, jak na porządnego gospodarza przystało. Żona dotrzymywała mu kroku o tyle, o ile „gadziną”, prowadzona przez nią na jarmark, nie szarpała postronkiem i nie zbaczała do rowu.

— Widzisz, Michale — mówiła baba — chciało ci się samemu iść na jarmark, ale doćkanie twoje! Ja dziewczką byłam jeszcze u ojców, w chałupie, i dlatego żaden jarmark przeze mnie się nie obył — a tera, na swoim gospodarstwie, mam w taki dzień siedzieć, jak zamurowana.

Chłop ręką machnął.

— Zawdy — rzekł — jeno pretensye masz. Chciałem iść sam, bo jenteres mam taki, co do niego baba tak potrzebna, jak dziura w moście, abo jak nieprzykładając, dyabeł w Częstochowie.

— Ot, zamknij lepiej gębę! żebyś w złą godzinę nie wymówił! Jenteres ma! ciekawość, jaki to jenteres, co może być przez baby? Chyba kozę pójdziesz odsiadywać.

— Nie będę ja nic odsiadywał, bom nikogo nie zabił, ani jenszej rzeczy nie zrobił, a co do jenteresu... tfy, niech cię marności ogarną!...

— No — a co?

— Musi chyba nie widziałaś? zając bez drogę przeleciał... i jeszcze pytasz się co? Magda — dodał ciszej — mnie się widzi, że zawdy lepiej się wrócić.

— Bez głupiego zająca?! a żeby on skapiał prędzej. Nie słyszałeś ty, jak ksiądz na jambonie przykazywał, żeby w takie głupie bajdy nie wierzyć?!

— Et, ksiądz księdzem, a zając zającem. Przepomniałaś to już, jak łońskiego roku na wiosnę, jakim to do lasujechał i baba mi drogę przeszła, to mi się koło złamało?

— To musi baba w tem winna, żeś woza w domu nie opatrzył. Sprawiedliwie to powiadają: że kiepskiej tanecznicy to i obrąbek zawadza; jenszy niezguła porządku kiele woza nie dojrzy, a jak mu się w drodze szkoda zroby, to na babę spędza, albo choć i na zająca.

Chłop zaczął się w głowę drapać.

— Nie — rzekł — nie, Magdusiu, chyba się zawróćmy, po co guza szukać, mówię ci, że będzie nieszczęście.

— No — a jakże z tem jenteresem, co przez baby miał być?!

— Obendzie się.

— Niby jak?

— A tak, mam stare buciska, to w nich, siako tako, do godów przechodzę.

— Ehę! toś ty taki jenteres miał, buty chciałeś se kupić.

— A ty skąd wiesz?

— Skąd? musi mi ten zając powiedział, coś go się złąkł, jak złego.

Chłop usiadł nad rowem i usiłował przekonać żonę, żeby nie iść.

— Powiadasz — mówił — że ksiądz zakazuje; no dobrze, o babie zakazował z jambony, bom sam słyszał, ale o zającu nic nie gadał.

— Słuchajno, Michał — odrzekła żona, trącając go potężnie w bok — albo ja ci kiedy krzywa była? albo ja o twoje dobro nie stoją? czy ja latawiec, czy ja tobie nie gospodyni, nie żona, twoim dzieciom nie matka? Czy to nie dbam, nie haruję, jak wół?

— No jużci, to prawda, po sprawiedliwości, ja tam powiadam, żeś rzetelna kobieta, pocziwa, ale też i ja dla ciebie nie pies, krzywdy ode mnie nie masz, choć się przemówimy czasem, to dlatego gnatów ci nie przetrącam, jak insze swoim kobietom, nie skrzywdzę, przyodziewek też masz, jak się patrzy, głodu nie mrzesz.

— Zgrzeszyłabym też, żebym powiedziała, że nieprawda; przemówienie to swoja rzecz, a choć mnie jeszcze po ostatniem przemówieniu plecy bolą i stara Zagnańska musiała mnie wódką z psiem sadłem smarować, dlatego ja sobie nie krzywduję. Zawdy ty mnie mąż, a ja tobie żona, a co Pan Bóg miłosierny złączył, to nic nie rozłączy, jeno co rydel a motyka. Wstań, wstań, Michałku, pójdziewa, co se tam będziesz brał do serca, chodź.

Chłop namyślał się.

— Oj, oj! — mówiła dalej kobieta — wszystkie wy chłopcy jednakie, a nie przykładając, wszystkie sielmy. Nie bój się, żebym tak temu dziesięć lat, jesce kiej u ojców w chałupie byłam, żebym tak, na to mówiący, rzekła: chodź, Michałku, tobyś na stado wilków nie patrzył, jeno leciał. Może nie?

— Ha, albo ja wiem, powiadasz, żebym leciał, i mnie się widzi, żebym leciał — dodał, śmiejąc się. — Zreśtom, i dziś przecie zły dla cię nie jestem. Gadasz iść, ha! rezyk fizyk! co będzie, to będzie, idę!

— Ot tak to ale! taki stateczny gospodarz, taki chłop, zeby się głupiego zająca bojał!! Chodźmy, prosięcinę sprzedamy, choć biednie za siedm rubli, zara sobie chustkę kupię i dzieciom obwarzanków choć z dziesięć, niech tam i one robaczki mają uciechę.

— I ja im kupię, jeno pierwej buty, to je najpierwsza rzecz.

— Najpierwsza rzec, a chciałeś sam kupować, przeze mnie!

— A jużci, bo ja chcę wedle nowej mody, foremnie, a ty może...

— Nie pleć, pleciugo, nie pleć. Toć nieraz sama ci gadałam, żebyś se kupił galante buty nowomodne, jak młode gospodarze noszą, bo patrzeć nie mogę, jak się telepiesz w takich stęporach, rychtyk, jak kuń po grudzie. Już ja ci sama buty naraję galante, jak się patrzy.

— Ech! albo to ty na rzemień znawczynia?

— Nie — tylko musi chłop to już na wszystko znawca! wielga rzecz rzemień, aby jeno mocny był, to i ju!

Tak rozmawiając, zbliżyli się do Okpiszewa. Już na moście był ścisk okropny. Dzierżawca rogatki klócił się o kopytkowe, faktorki i przekupki przeglądały wszystkie fury, kilkunastu dziadów śpiewało na całe gardło: jeden o świętym Mikołaju, drugi „kto się w opiekę”, dziesiąty o św. Rochu, obrońcy od morowego powietrza...

Michał dał jednemu dziadowi trzy grosze, na pacierz do Przemienienia Pańskiego, bo mu fatalny zając nie mógł jakoś wyjść z głowy.

Wszakże, wbrew owej wróżbie, interesa odrazu wzięły pomyslny obrót. Za prosiaka, wedle obliczeń Michałowej, miało być siedm rubli, tymczasem rzeźnik, niewiele się targując, dał za niego dziewięć rubli i złotych dwa, przybił Michałowi rękę, aż się po całym rynku rozległo, i jeszcze litkup zapłacił.

Co prawda, w Okpiszewie na św. Marcin bywali porządni rzeźnicy, aż z pod Węgrowa podobno, czy może z innego końca świata...

Uradowani małżonkowie pragnęli też zaraz załatwić sprawunki.

— Słuchajno, Michał — rzekła baba — mnie się widzi, że pasowałoby ci kaśkiet kupić, takie masz wielkie czapczysko, jak nie przykładając, wronie gniazdo, kozuch na nic zrudział, denko wypłowiało i wstąscyna, ze tylko na śmiecie wyrzucić.

Żyd czapnik podsłuchał rozmowę i wnet chwycił Michała za rękę.

— Aj waj, gospodarzu — zawołał — jaką wy macie rozumną kobietę, aj waj, jaką rozumną! Co ona w swojej głowie ma, to prawdziwy majątek. Żeby wy tyle zboża w stodole mieli, co ona ma w swojej głowie rozumu! to rarytna kobieta jest, na moje sumienie!

— Nie scekaj, Zydzie — rzekła Michałowa — jeno daj kaśkiet, rzetelny kaśkiet z daszkiem.

— I to macie recht, na co jemu staromodne czapke? taka czapka barania, jak konewka, to ciężkie jest, trzeba zdrowe szyje, żeby mogła udźwignąć głowę z takim baranem! trzeba bydlęce szyję na taki interes!

— Magduś — rzekł Michał — a może lepiej zamiast kaśkieta capkęby kupić, tera do zimy idzie, mróz, cy do lasu, cy jak, zawdy cieplej.

— Macie recht, gospodarzu — rzekł Żyd, wybierając ogromną czarną czapę barania — macie recht! Tera do żyme idzie, kto nosi kaszkiet, żeby wiaterek jego świszczyl po uszach! Ja wam co powiem: letki człowiek, letka czapka! Po czem poznać siłę w koniu? po ogonie, a po czem poznać osobę? po głowie! a że każde głowe jednakowe jest, to trzeba poznać po czapce! Kto nosi kaszkiet? pisarczyk od wójta! a kto nosi taką czapkę? sam wójt! Aj waj! aj waj, czekajcie, niech no ja wam wybiorę kawałek czapki w dobrym gatunku, coś fajny!

To mówiąc, Żyd wsadził Michałowi na głowę olbrzymie czapczysko i, natychmiast zwracając się do Michałowej, zapytał:

— Gospodyni! pani gospodyni! słuchajcie no, gdzie się wasz chłop podział? gdzie un się podział, wasz chłop, co tu stojał niedawno, gdzie un się podział?!

— A dyc stoi przed tobą — rzekła z gniewem baba — gdzie się miał podziać, toć się w ziemię przecież nie zapadł!

— Na moje sumienie, ja jego nie poznałem w tej nowej czapce, żeby tak nieszczęścia nie widział; tu stojał sobie chłop, zwyczajny chłop, jak dużo chłopów jest, a teraz taki gospodarz, taka osoba, że na całą gubernię takiego nie zdybować! Ja, jak żyję na świecie, nie widziałem, żeby który wójt tak wyglądał. Ale też to jest kawałek czapki! aj, waj! jaki to kawałek czapki jest!

— No, Magda! jak? — zapytał Michał — jak ty mi raisz... kaśkiet, czy czapkę?

— A no, albo ja wiem, może według zimy i czapkę, a na św. Jan kupisz se kaśkiet, jak zechcesz.

— Aj, aj, sprawiedliwie pani gospodyni powiada, bardzo sprawiedliwie, ja nawet nie wiem, gdzie wy na wsi taki rozum zdybali! Na moje sumienie!

Po długim targu, odchodzeniu, zawracaniu kilkakrotnem Michał został właścicielem wspaniałej czapki, która, zdaleka szczególnie, wyglądała rzeczywiście, jak wronie gniazdo.

Pani Michałowa sprawiła sobie chustkę bardzo piękną, w której barwy czerwona, zielona i żółta klóciły się z sobą zawzięcie i, nareszcie, przed zmrokiem jeszcze, zrobiony został najważniejszy sprawunek... buty.

Szewc z czerwonym nosem, znany na wszystkich jarmarkach handlarz obuwia, zaklął się na wszystkie świętości, na żonę, dzieci, na zbawienie duszy, że rzemień na butach jest mocny, jak żelazo, a fason najświeższy, warszawski; że podkówek najlepszy kowal obcęgami nawet nie oderwie i że, nareszcie, w tem wspaniałem obuwiu można stać w wodzie przez rok i sześć niedziel i nie przemoczyć się wcale. Zapewnił, że z tego samego towaru robił buty dla dwóch młynarzów i rybaka, przyczem opowiedział bardzo ciekawą historię. Jeden z jego klientów, kupiwszy buty, takie same właśnie, jak Michał sobie wybrał, łowiąc ryby na jeziorze, utonął, i dopiero w pół roku później woda wyrzuciła go na brzeg. Cygan, który właśnie tamtędy przechodził, pozazdrościł topielcowi tak pięknych butów i ściągnął je, potem dostał się do sądu i w tychże samych butach przesiedział dwa lata w kryminale; ale nie dość na tem, bo, wyszedłszy z kryminału, sprzedał je Żydowi za cztery złote podobno.

Doprawdy, od takiego majstra, jak ów szewc, nie żał przynajmniej kupować, bo to i majster dobry i człowiek wymowny, umie towar zachwalić i uszanować każdego, nie targuje się, jak Żyd; jak może co opuścić z ceny, to opuści i da statek porządny, co się zowie, i nie obedrze człowieka.

Jarmark powiódł się Michałostwu. Prosiaka sprzedali dobrze, kupili piękną chustkę, czapkę, buty, obwarzanków dla dzieci, a oprócz tego Michałowa zaopatrzyła się w duży garnek gliniany, polewany, o jakim już oddawna marzyła; kupiła także soli oraz kilka pierniczków dla swego »raka zatraconego«, najmłodszego Antosia, którego bardzo kochała. Sprawunki zawiązała w chustkę, a Michał przymocował nowe buty u kobiałki, potem wstąpili do Lejbusia, napili się na drogę wódki, zjedli śledzia prosto z beczki, parę bułek i poszli do domu.

Pokrzepiwszy siły, zyskali także i na humorze. Szli żwawo. Kiedy już minęli most, baba odezwała się.

— A co, Michałku, musi moja prawda, że tak jest, jak ksiądz przykazuje, a twój głupi zając polecał se w krzaki, jak zwyczajnie zając, i przeszkody ci żadnej nie uczynił.

— Et, co ty tam wiesz. Zwyczajnie jak baba, gadasz jeno po próżności — aby gadać.

— Tak, tera to ci baba, a przepomniałeś, jak to było dziesięć lat temu? Magduś — słonko! Magduś — kwiatek! Magduś — kochanie; a tera to baba! Ej, żeby mi tak garnka nie szkoda, co go trzymam w garści, tobym cię tak dzbęknęła po łbie, aźby ci się babka przyśniła, paskudny chłopie!

— Tobie jeno do dzbękania, to najpierwsze, to nie kobiecka rzecz, moja Magduś.

— Aj, aj, jaki ty mądrała, Michałku! u ciebie wszystko nie kobiecka rzecz! a miałbyś ty buty, żeby nie ja? miałbyś taką capkę galantą? przedałbyś może prosioka za dziewięć rubli i złotych dwa, żeby nie moja głowa, nie kobiecka głowa?

— No — juści, możebym i przedał...

— Ale... przedołbyś! — kumedia! — a kupiłeś co dla Jantosia, ty ojczu! co byś to niby za dziećmi w ogień wskoczył?!

— Ano juści, kupiłem obwarzanków za cały złoty, to i dla Jantosia będzie.

— A ja kupiłam dla niego jeszcze coś...

— Bo u ciebie Jantoś oczko w głowie, a mnie kuźde dziecko wraz.

— Toć i ja matka — jeno Jantoś najmniejszy i rychtycek taki na gębie, jak ty, Michałku.

Chłop się rozrzewnił.

— Aj, Magdusiu, jagódko — rzekł — musi ty tylko tak gadasz se bez żarty...

— A juści! Sprawiedliwie to w pieśni śpiewają, co kuźdy chłop to jak pies; choćby jemu duszę oddać, zawdy sceka...

— Cich! cich, kobieto!... ja powiadam po sprawiedliwości, co takiej baby, jak ty, Magduś, w świecie posukać. Ot, wiesz co, jagódko moja, mrok się już robi, chłodno jakoś, możebyśmy do Pohulanki zaszli, odpoczęli krzynkę... Jankiel tam dobrą wódkę ma — a po drugie, ludzie z jarmarków idą, kumów się spotka...

— Ej, już cię coś ciągnie?

— Ciągnie, albo i nie ciągnie, ale zawsze tak, o suchym pysku, z jarmarku wracać, to jakoś, mi się widzi, nie pasuje...

— Paskudny pysk, co zawdy do mokrości ciągnie!

— Widzisz ją! jaka ci! A pamiętasz, jakieś gadała dawniej: „mój Michałek ma miodową gębę?” — a tera to ci paskudny pysk!

— Gęba gębą, to swoja rzecz... a pysk co inszego.

— Dlatego wstąpmy, wstąpmy, Magdusiu... co se będziesz nozyska zrywała na piechotę... na Pohulance swojak się znajdzie, to do samej chałupy podwiezie...

— A swojej kobyły to żalowałeś.

— Bo moje kobyłsko z parobkiem rubla dziś zarobi, a rubla na drodze nie zdybie. Nie bój się, dobrze zerkasz na woitkową łąkę, co ją chce sprzedać; ale radaby dusza do rajy, jeno grzechy nie puszczają, pieniędzy nie będziemy mieli tyła, co potrza — to dobry i rubel.

— Oj ty! ty! rubel to ci dobry — a na Pohulance dwa stracisz.

— Co? stracę? choćbym i stracił, to swoje — a z kim? z tobą. Co to, ja kompaniów szukam, czy co? Czy to my źle żyjewa ze sobą? Ot, chciałbym se krzynkę pohulać, to i idę, a z kim idę? z żoną, z Magdusią moją, z mojem kochaniem, psiakość!

— No, to chodź, jeno ci to przykazuję, nie siedź! Zara, aby się tylko fura trafiła, pojedziem.

— Pojedziem, jagodo, pojedziem.

— Boć tam i dzieciska Bóg wie jak...

— No — siostra się przy nich ostała...

— Co siostra... zawdy to nie matka...

Na progu stał pan Jankiel, szynkarz z Pohulanki, i witał swoich gości.

— Aj, waj! — zawołał — co ja widziałem?! Złoto, srebro, perłów widziałem, a Michała z Michałową nie widziałem! Aj! takie gość! takie gość! w Pohulance to wielki rarytas je! wielgie mecyje! Chodźcie do izby, tam je Mateusz Drozd z waszej wsi, i Wálko jest, i Michał jest, wszystkie są! — czy to dziś nie święty Marcin? nie zabawa?!

Michałostwo weszli do karczmy, w której było już pełno ludzi. Jankłowa nie mogła obsłużyć wszystkich gości, taki był popyt na gorzałkę, piwo i miód. Kumowie ściskali się, całowali, zapewniali się nawzajem o swoim przywiązaniu i czułości.

Na dobitkę, ni stąd ni zowąd, znaleźli się jacyś dwaj wędrowni muzykanci, a widząc, że ludzi jest dość i zarobek być może, zaczęli stroić skrzypce.

Młodzieży tego tylko było trzeba. Zaraz znalazł się jakiś elegant, gospodarski syn, tupnął podkówkami, chwycił wpół zaplonioną dziewczuchę i, krzyknąwszy hu! ha! puścił się w tany.

Za jego przykładem poszli inni, i wnet obszerna karczma Jankła zamieniła się na salę balową. Michałowej usiąść nie dano; była to kobieta przystojna, wesola, gospodyni porządna; za honor sobie miał każdy, kto mógł, z nią tańczyć. A i ona sama zabawić się także lubiła.

Zmęczona, wymknęła się do sieni — a ponieważ umówiła się z Mateuszem, że na jego furmance powrócą, więc też wyszła przed karczmę, upakowała w wozie wszystkie sprawunki i okryła je dobrze słomą.

Było już późno; noc pogodna, choć zimno; księżyc płynął po niebie wysoko i rzucił blade promienie na poczerniały dach karczmy, na wioskę, las i rzekę, wijącą się między łąkami.

Przy koniach nie było nikogo, — jedni poszli tańczyć, inni pić, inni wreszcie przypastrywać się zabawie. Szkoda było babinie zostawić sprawunków na łasce losu; wgramoliła się więc na wóz, otuliła się chustką i pilnowała, w nadziei, że wyjdzie ktoś z karczmy i będzie dawał baczenie na wozy.

I dumano się babinie o tym zajacu, co im dziś przez drogę przeleciał, o jarmarku, o butach, o chustce, o Michale swoim, który chłop dobry jest, ale czasem lubi się zabawić zanadto, — o dzieciach, a najbardziej już o tym jasnowłosym Jantosiu-pieszczochu, który wciąż lubi za nią łązić, jak nie przymierzając cielę za krową, i, choć ma dopiero dwa lata, już gada: „matulu”, tak jak najstarszy. Okrutnie dobry dzieciak i mądry, — po ławce do komina wylezie i patyczkiem z ukropu, z garnka potrafi wyjąć kartofel... taki dowcipny rak!...

Zadumała się kobiecina o tem, że ma tyle lnu do międlenia, że całą zimę prząć będzie na nowym kołowrotku, że z tego przędziwa naszyje koszul dla chłopca, dla starszych dzieci, dla Jantosa... A to płótno będzie śliczne, cienkie, równe, wybielone na słońcu... Jantoś

pomoże jej rozciągać je na łące, skoro już wiosenne słońko przygrzeje, — ten Jantós, taki ładny, taki mądry, który o wiosnie już pewnie gęsi paść potrafi... Jak kto się urodzi zdolny, to go długo uczyć nie trzeba; dość mu jednego słowa, dość mu raz dobrze pięścią w kark, a reszty sam się domyśli — odgadnie...

Chłodno jest na dworze, wiatr jesienny się wzmaga. Babina otuliła się w chustkę, wkopała nogi w słomę i — дума. Zmęczona podróżą, zmęczona tańcem, śni... czuje senność, oczy jej się kleją — marzy... Zdaje jej się, że siedzi w ciepłej izbie, przy kominie, na którym ogień bucha wesoło; kartofle się gotują, w ryneczce skwierczy, jak nieszczęście, słonina... Ona sama siedzi przy kołowrotku i przędzie. Jantosiowi swojemu bajkę opowiada; starsza dziewczyna pierze drze pod piecem, chłopak sobie wiatraczek z gontów robi, a Michał podrywkę na ryby szykuje... Tak dobrze w tej chałupie, spokojnie...

W karczmie tymczasem bawią się, aż szyby brzęczą, wędrownym muzykantom potoczy zalewa, Jankiel z wielkiej krętaniny chałat z siebie zrzucił.

Mateuszowym konikom przykrzy się stać przed karczmą; zmęczone i głodne, chciałyby się dostać do stajenki, zjeść świeżego siana, a później rozciągnąć się na słomie, wypocząć. Schyliły łby ku ziemi, pożywienia węższą, krok za krokiem posuwają się naprzód, aż już karczmę minęły, a ujrzawszy się na drodze do Zawadówki, parsknęły rażno i pobiegły wyciągniętym klusem...

Muzyka brzmiała w karczmie tak głośno, że turkotu wozu nikt nie słyszał, a szkapiny, śpiesząc do domu, pędziły po równym, twardym gościńcu.

Mateusz kiwał się senny za stołem, Michał, ożywiony zabawą i kilkoma kielichami gorzałki, o Bożym świecie zapomniał.

— Graj, muzyka! — wołał, obejmując wpół którąś z licznych swoich kumoszek — graj! — i, zawinawszy połą od sukmany na rękę, przyśpiewywać zaczął:

Oj, w kalinowym lesie,
Oj, dyabeł babę niesie!

— Macie też co śpiewać... — odezwała się kuma — jeszcze, chowaj Boże, w złą godzinę...

— Czekajta dalej — zawołał —

Ale upadł i jęknął,
Bo mu zara grzbiet pęknał!

— To ci galanta baba być musiała — odezwał się jakiś chłop — i som dyabeł nie mógł jej podźwignąć!...

— Wiadomo — wtrącił inny — baba to je ciężar...

— A musi to wy lekkie, jak piórko?... wiater-by was zdmuchnął!...

— Aj, wiater! wiater!... — dorzucił Mateusz półsenny — słyszycy, jak huczy w kuminie? Pewnie się kto obwiesił...

— Ziąb skaradny na świecie!

— Ziąb? — zawołał Michał, podskakując, — co mi ta ziąb! Niech się psi zimna boją, bo na dworze siedzą, a człowiek, skoro je w chałupie...

Ej, moja Małgorzato,
Nie zważaj ty se na to!
Bo, choć na dworze zima,
Ale za piecem lato!
Hu! ha!

— Mateusie! Mateusie! — wrzasnął młody parobczak, wpadając nagle do karczmy.

— A co? półkwaterek ci dać?... Lej, Janklu, nie pytaj! ja rzetelnie zapłacę... do jednego grosa...

— Ale... Mateusie!...

— Co ta będziesz gadał po próżności... pij, kiedy ci dają, i tylo!

— Juści, pij!... Tu nie pij — jeno waszych kuniów niema przed karczmą!

— Ukradli! — krzyknął odrazu wytrzeźwiony Mateusz — nieszczęście moje wielkie! Michał urwał swą piosnkę w połowie nuty.

— Ludzie, ratujta! — zawołał Mateusz — goń, kto w Boga wierzy! ratujta moją chudobę! Hej, Jankiel, psiawiario! kto tu był obcy? to musi twoje współniki!...

— Co to współniki!... jakie współniki?... ja was za potwarz do sądu podam!... widzita go!... ja wam pokażę, co to jest takie kalumnie zrobić!!!... Co?... współniki?... kto tu złodziejski współnik jest?...

Mateusz nie zważał na te krzyki.

— Chłopcy! — rzekł — kto w Boga wierzy, siadajta na kunie wierzchem i gońta! Nagrodzę, rzetelnie nagrodzę!... Oj! moje bydłatka kochane, od źrebiąt odchowane!... moja chudoba jedyna!...

Lamentujący Mateusz został przed karczmą, przy wozach, a chłopci, dosiadłszy koni, rozbiegli się na wszystkie strony.

Michał na koniu swego sąsiada Marka pognął za złodziejami napowrót ku miastu.

*

Na drugi dzień pod wieczór powrócił dopiero do wsi. Smutny, zbiedzony, głodny, nieśmiało wszedł do chałupy.

— Toć Boga pochwał przynajmniej... — rzekła do niego żona — przecie katolik jesteś...

— Niech będzie pochwalony... — odrzekł. — Gadałem ci o zającu, nie chciałaś słuchać, a tera nieszczęście... ni prosioka, ni pieniędzy, ni butów, ni capki — i jeszcze Mateuszowe kunie ukradli... Będę ja tera wiedział, jak to babskiego gadania słuchać... jak to na zająca nie zważać...

Kobieta rozśmiała się.

— Ej... nie śmieję się, babo! — krzyknął groźnie — bo mnie mankulia porwie, i jesce co złego komu zrobię!... Nie zaczepiaj mnie... pókim dobry!

Baba wstała z ławki i rzekła:

— No, nie pomstuj jeno; co się stało, to stało, to się nie wróci — a tera chodźno do kumory, pokażę ci przybytek...

Chłop wszedł i ze zdumieniem, zobaczył swoje buty nowe i czapkę i z niemniejszym zdumieniem dowiedział się, że Mateuszowe konie od wczorajszej nocy są w domu.

— Pamiętajże se tera — mówiła, śmiejąc się, baba — żebyś sam chodził buty kupować, to przynajmniej złodzieje nie będą boso chodzili.

— Ej, Magduś! Magduś! — jagodo... — dobra ty kobieta, ale... zawdy to je kiepsko, jak człowiekowi zając bez drogę przeleci!...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/junosza-zajac>

Tekst opracowany na podstawie: Klemens Junosza, Froim - Zajac, nakł. Gebethner i Wolff, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0327-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.